

Szanowni Państwo,

trudno określić emocje, jakie towarzyszyły mi przy czytaniu artykułu Piotra Sarzyńskiego w ostatnim wydaniu Polityki. Było ich dużo, ale na końcu pojawiła się jedna dominująca - przykrość, Zrobiło mi się przykro i smutno.

Otóż pan Redaktor, którego miałem okazję poznać i rozmawiać z nim kilka razy, rozczarował mnie zarówno w wymiarze merytorycznym, jak i formalnym. Zacznę od tego drugiego.

Nie jestem dziennikarzem, ale wyobrażam sobie, że istnieją jakieś jednak normy etyczne w sposobie prezentacji materiału i ludzi, których danych dziennikarz w nim opisuje. Normy te, szczególnie w piśmie takim jak Polityka - z tradycją, historią i panteonem dziennikarskich sław, powinny być niewzruszonymi aksjomatami pracy dziennikarskiej.

Tu pojawia się pierwsza przykrość - używanie jako argumentu braku wykształcenia kierunkowego niektórych artystów jest po prostu nie fair.

Argument ten jest również, moim zdaniem sformułowany w sposób wyraźnie pogardliwy, i dla artystów i dla wymienionych zawodów.

Co z tego, że p Kopera, Lewandowski nie są absolwentami uczelni artystycznych, skoro ich prace cieszą się popularnością ? Czy Hendrix znał nuty ?

Dziwi mnie tylko, że autor do tej negatywnej selekcji nie dodał jednego z głównych negatywnych bohaterów swojego artykułu - Zdzisława Beksińskiego, który przecież był "tylko"po architekturze i o zgrozo w pewnym okresie swojego życia projektował autobusy.

Nie chciałbym tu podawać wielu przykładów, w których wykształcenie jednostki ma się nijak do jej sukcesu zawodowego. Chodzi mi bardziej o etykę, formę użycia tak taniego argumentu.

Pan Sarzyński ma staż na rynku dłuższy niż ja, Tym bardziej dziwi mnie takie skostniałe podejście, popularne w epoce "przedinternetowej" czyli w okolicach lat 2000, które można podsumować zdaniem: *Kupujący się nie znają i kupują co chcą, zamiast słuchać krytyków, którzy wiedzą lepiej.*

Kilkadziesiąt lat na rynku sztuki nauczyło mnie, że sztuka jest dziedziną wielce niesprawiedliwą. Są profesorowie akademii z galerią medali, których prac rynek nie uznaje, nikt nie chce ich kupować, bo akurat w tym momencie dziejowym się po prostu nie podobają. Są też genialni samoucy, którzy dzięki swojej konsekwencji, talentowi i iskrze szczęścia znajdują swój czas i wkraczają na rynkowy panteon.

Bez sensu jest, jak to robi w swoim artykule pan Piotr Sarzyński, dzielenie artystów na lepszych (tych sugerowanych przez krytyków, ekspertów, czy innych demiurgów sztuki) i gorszych - kochanych przez rynek. Wręcz ryzykowne - bo rynek zawsze wygra. Rynek, czyli klienci, którzy poprzez płacenie wysokich cen manifestują swoje wybory.

Tego typu porównywanie i stawianie po jednej stronie barykady krytyków i ekspertów, którzy mają decydować o wyborach kupujących, a po drugiej rynkowych wyborów klientów, jest ryzykowne, karkołomne i w dalszej perspektywie frustrujące dla autora tej dychotomii. Rynek zawsze wygra, szczególnie teraz, gdy kupujący słuchają siebie i mają zaufanie do swoich własnych wyborów.

Takie dzielenie artystów na takich, których "należy" odgórnie kupować i doceniać, oraz tych, którzy "nie zasłużyli na sukces" nie pomaga ani rynkowi, ani artystom. W pewnym sensie nawet obraża kolekcjonerów, którzy tym bardziej nie będą słuchać krytyków i ekspertów.

Każdy poważny dom aukcyjny, na pytanie klienta "co mam kupować" odpowie - *przede wszystkim to, co się Pani/Panu podoba*. Naprawdę tak jest.

Rynek sztuki, to jest niezależny organizm, a nie klasa w szkole III RP. Od kilku lat toczy się publiczna dyskusja na temat roli krytyków sztuki, jeżeli chodzi o wybory kolekcjonerów i coraz wyraźniej widać, że następuje szeroki rozjazd między opiniami i działaniami. Ludzie kupują sztukę, która się im podoba, a nie zachwalaną przez krytyków. Dlaczego? Bo są odważniejsi w swoich wyborach, bo znają siłę swoich pieniędzy, bo dzięki dostępowi do internetu mają porównanie cen, dzieł, ich jakości, a także opinii - nie tylko uznanych krytyków i historyków sztuki.

Jako uczestnik rynku sztuki, prowadzący Dom Aukcyjny od kilkadziesiąt lat, nigdy nie obrażam się na wybory moich klientów. Wiem, że kupują sztukę by sprawić sobie przyjemność, a nie zastanawiać się czy to co kupili to im się podoba, czy nie. Wbrew pozorom - niewielu kupuje z powodów czysto inwestycyjnych.

Wiem też, że typowa droga kolekcjonera - to ewolucja - czasami od Kossaka do Wyspiańskiego, czasami nawet od Sętowskiego do Wróblewskiego.

Bardzo często słyszę z różnych stron to frustrujące zdanie: "bogaci to kupują bo się kompletnie nie znają, a to dlatego, że edukacja artystyczna u nas w kraju leży na dnie". Edukacji nie nabędzie się w dzień, tydzień, czy nawet parę lat. Im więcej się ogląda, tym więcej się człowiek uczy, rozróżnia, tym bardziej staje się wrażliwy wizualnie. I żadne, często intelektualnie hermetyczne wywody krytyków nie skrócą tej drogi. Wiele osób nie zostaje wyrafinowanymi kolekcjonerami, zatrzymują się na etapie prostszego w odbiorze malarstwa (jak Olbiński), dla innych ta droga dalej pozostaje otwarta. Szukają dalej, drążą tą trudną często i pełną wyzwań intelektualnych ścieżkę, dochodząc do wyrafinowanych abstrakcji czy sztuki konceptualnej. Sami jednak muszą się do tego przekonać.

Odnoszę wrażenie, że w dzisiejszym czasie po prostu krytyka "wskazująca i sugerująca" jest niepotrzebna kupującym, którzy dzięki dostępowi do informacji sami albo pracują nad swoim rozwojem, albo zatrzymują się w konkretnym miejscu swojej drogi, tam, gdzie jest im najlepiej.

Z roku na rok, z resztą ten proces edukacji przez oglądanie i uczestniczenie się realizuje. Proszę zwrócić uwagę na frekwencję na znanych muzealnych wystawach, wernisażach, wzrost informacji i popularności sztuki w mediach. Ludzie w Polsce uczą się sztuki sami, odkrywają tą nową dziedzinę i się z niej cieszą. Sami.

Najbardziej zrobiło mi się przykro, czytając fragment artykułu dotyczący Jacka Yerki, mojego "podopiecznego", którego reprezentuje nasza firma - Dom Aukcyjny Agra-Art. Od 14 lat jesteśmy wyłącznym przedstawicielem, marszandem, agentem i, przede wszystkim przyjacielem artysty.

Jest to jedyny malarz, z którym tak ściśle współpracujemy. Zaczęliśmy naszą wspólną przygodę z Yerką w czasach, gdy jako malarz był totalnie poza mainstreamem polskiego artworldu.

Dzięki nam, mógł całkowicie oddać się malowaniu, a nie obchodzić jak domokrażca domy aukcyjne, czy upraszać nielicznych wówczas kolekcjonerów o zakup prac.

W 2007 roku zobaczyłem w pracach Yerki potencjał i przyszłość - widziałem jak bardzo podoba się jego malarstwo w innych krajach - od USA, po Brazylię i Japonię. To takie proste - jeżeli sztuka artysty znajduje uznanie w tak wielu różnych kulturowo miejscach - to jest uniwersalna, trafia w jakiś "neutralny" estetyczny punkt wspólny dla wszystkich. Na początku drogi, z góry skreśliłem nasz wspaniały kraj, bo ilość hejtu wylewana na artystów z nurtu realizmu magicznego była ogromna, a i rynek kolekcjonerów nieduży. Do tej pory, główna strona Jacka Yerki jest anglojęzyczna, ponieważ skierowaliśmy się na świat, a nie na Polskę.

To , że Jacek Yerka stał się (wg notowań aukcyjnych Artinfo.pl) drugim (po Stefanie Gierowskim ) najdrożej cenionym na rynku żyjącym artystą, jest zasługą naszej wspólnej pracy, konsekwencji, promocji. Żaden krytyk czy ekspert nie miał na ten fakt wpływu.

Podobnie działo się z twórczością Zdzisława Beksińskiego, który, podobnie jak Yerka znajdował się na peryferiach naszego artworldu. Orędownik i promotor Beksińskiego - Piotr Dmochowski walczył wiele lat w jego imieniu, reprezentował go i stał za nim murem. Zawsze w niego wierzył i wierzy nadal, na przekór czarnej legendzie i odrzuceniu przez krytykę. Teraz Beksiński jest jednym z najdroższych polskich malarzy, w panteonie aukcyjnych rekordów stał się równy Nowosielskiemu, czy Stażewskiemu. Za Nowosielskim stała Fundacja Nowosielskich, wystawa w Zachęcie, album wydany przez luksusowe szwajcarskie wydawnictwo Skira, kolekcje Fundacji Staraków czy Starmacha. Beksiński miał tylko Dmochowskiego, wystawę w Centrum Kultury w Nowej Hucie i .. swoich fanów. Rynek uczynił go wielkim, niezależnie od instytucji, sponsorów, artbooków. Obecnie w Warszawie odbywają się 3 niezależne wystawy malarstwa Beksińskiego (w Koneserze, Agrze-Art, oraz Muzeum Archidiecezji) i do każdej stoją kolejki zwiedzających.

Podsumowując, przykro mi się zrobiło też, z tego powodu, że znów mam do czynienia z typowo polskim schaden freude, czy bardziej narodowo "bij mistrza". Kiedy wchodzimy w czas, że sztuka staje się wreszcie normalnym elementem życia naszego społeczeństwa, a nie wydumany hobby, kiedy pojawiają się naturalne, a nie pompowane ideologią ekspertów gwiazdy - pojawia się ten polski hejt. Zamiast się cieszyć, że coraz więcej Polaków staje się kolekcjonerami, że kupują dzieła sztuki, zamiast wydawać pieniądze na proste konsumpcyjne gadżety - pojawia się głos deprecjonujący i zniechęcający do tego trendu. Mam jednak nadzieję, znając niezależność moich klientów, że tego typu negatywne opinie nie będą miały większego znaczenia.

Piszę ten list, bo jest mi przykro, że artykuł Piotra Sarzyńskiego dzieli, a nie łączy. Nie próbuje wyjaśnić, ale jednoznacznie ocenia i wydaje wyroki. W czasach, gdy tyle nas dzieli, chociaż sztuka powinna pozostać neutralnym polem wymiany opinii i poglądów, a nie kolejnym krwawym klepiskiem, gdzie "my" i "wy" toczymy walkę.

Z poważaniem,

Konrad Szukalski

Dom Aukcyjny Agra-Art

Przedstawiciel Jacka Yerki